ROZMAITOŚCI.

Dnia 9. Września N^er 36. Roku 1843.

OBRAZY PARYŻA.

MORGUE.

Byłoto w r. 1826 na wiosnę, że pewien modniś angielski przybywszy do Paryża, zajął liczne, pięknie umeblowane pokoje w hotelu na placu Vendôme. Przez długi czas nie bywał w żadnych towarzystwach, nie zwidzał klubów, nie jadał w publicznych restauratorniach, ale z drugiéj strony nie chciał także odgrywać roli odludka, miał bowiem przepyszny powóz, chociaż bez herbów, najdzielniejsze konie, jakiémi się mógł Paryż poszczycić, najwygodniejsze loże na operze włoskiéj i w teatrze *français,* a najwytworniejsze wewnętrzne urządzenie pokojów jego, ubiégało się o piérwszeństwo z piérwszémi domami.

Chociaż nasz bohatér nie chciał się okrywać tajemnicą, przecież zajął umysły próżniaków, którzy w nim jakiéjś tajemnicy dopatrzyć pragnęli; gdyż to nie mogło się im w głowie pomieścić, aby człowiek, z tak pochlebną powierzchownością i z takim majątkiem śród uciech Paryża, które głosem Syreny w swoje objęcia wabiły, tak odludne prowadził życie. Skrzętna ciekawość nowéj dostała karmi i na nowo w ruch wprawiła języki, gdy *joli Anglais* — tak go powszechnie nazywano — o godzinie, w któréj cały Paryż na przechadzki publiczne wylega, przejeżdżał się w otwartym powozie ulicami *longchamps*, a przy jego boku jaśniała kobiéta wdziękami, jakiémi tylko włoskie niebo wyposażyć może. Jéj oczy ciskające błyskawicami i postać uroczéj Sylfidy, brały każdego w złote pęta.

Któżto jest ta czarująca istota? podawał zapytania jeden drugiemu. Na siostrę nié ma podobieństwa, mówili jedni, jéj płeć smaglawa nie wskazuje na pokrewieństwo z jasnémi, błękitnémi oczyma Anglika.

Młode damy miały tę tajemniczą nieznajomę za małżonkę jéj towarzysza, ale starsze podżyłych wdzięków matrony, wywiodły ich z błędu, oświadczając: że na małżonkę za wiele okazuje tkliwości i przywiązania. Jednakże nie byłato zagadka sfinxa, rzecz była jasna: sama z mężczyzną w Paryżu, jéj płomieniste wejrzenie, z jakiém na jego twarzy spoczywała... zdradzało tajemnicę, i toż wszystko, co o niéj wiedziano.

Nadaremnie ubiegały się skrzętne matule, mające podlotki do wyswatania, aby jakiéjś pewniejszéj o tym nieznajomym zasięgnąć wiadomości; spekulanci od zielonego stolika, którzy radzi byli wynieść go na godność bankiera przy jakiéj grze hazardowéj, jako to: przy *rouge et noir,* udawali się nawet do samego ambasadora angielskiego, lecz Jego Excelencyja oświadczył z zadziwieniem: że nawet niezna jego nazwiska, chociaż jest zwyczajem, iż każdy przybywający Anglik, wnosi imię swoje w biurze ambasady. Tak mijały dni, miesiące, a łechtana niecierpliwością ciekawość nie mogła uchylić téj zasłony. Tyle tylko dowiedziano się od służącego: że oboje prosto z Wenecyi do Paryża przybyli.

Tymczasem żadna w trybie życia tych nieznajomych nie zaszła zmiana. Ciągle żyli sobą tylko zajęci, zawsze razem widziano ich w teatrze, na przejazdkach konnych w lasku bulońskim, na przechadzkach w gaikach w Meudon lub po Wersalu śród cudów przepychu i wytworności; podobnie jak cień wiąże się z ciałem, jedno nie odstępowało drugiego, a jeźli kto na jednę tylko osobę

z téj nierozłącznéj pary chciał zwrócić spojrzenie, musiał się zawsze z czworgiem oczu spotkać.

Gdy się to dzieje, nadjeżdza do Paryża stary margrabia z St. C... z swojego zamku w niższych Alpach. Zjawienie się tego *vieux bon homme*, jak go nazywali znajomi, nie byłoby nikogo zadziwiło, bo od lat pięciudziesiąt widziano go zawsze o porze wiosennéj w Paryżu — gdyby mu nie była towarzyszyła szesnasto-letnia małżonka. Byłato młoda. piękna kobiéta, która z rozkazu ojca swego opuściła klasztor, aby się połączyła z siedmdzisiąt dziewięcio-letnim starcem. Po raz piérwszy ujrzano ją w stolicy; nie dziw, że nazajutrz po ich przybyciu, hotel St. C. był w takiém oblężeniu, jakiego ta dzielnica miasta oddawna nie pamiętała.

Nawet stara arystokratyczna szlachta, któréj margrabia jako swoim dawnym znajomym, swoję małżonkę przedstawił, ugięła kolano przed jéj pięknością. *Haut volé* francuzka nie ostygła i wtedy w swoim zapale, gdy się dowiedziała, że małżonka margrabiego, którą miano z piérwszego wejrzenia za małą *avanturière*, jest istotnie jedyném dziecięciem hrabiego V....

Małżonka zniedołężniałego starością na ciele i duchu margrabiego, była więc z domu znakomitego, młodą, piękną i bogatą. Na to się zgodził cały Paryż. *Aimable roué* gotowało już dziękczynne adresy do małżonka za tę ofiarę, którę poniósł, biorąc z sobą małżonkę do Paryża, podczas gdy rozpustą styrani wyciéracze salonów, już wchodzili w zakłady: że téj anielskiéj duszy, która ledwie z imienia grzéch znała, na ślizkiéj, salonowéj posadzce paryzkiéj, powinie się noga.

Z czystą dziéwiczą duszą odbiérała Laura (tak się nazywała małżonka margrabiego) hołdy, które jéj cały Paryż składał; nie dojrzała gadziny, która się pod kwiatami kryła; zatruty oddech zepsucia, któryby inną osobę łatwo owionął, nie zaćmił czystego źwiérciadła jéj duszy; uzbrojona uśmiéchem, wytrącała nie jednemu bohatérowi salonowemu zatrutą strzałę, którą chciał ją ugodzić.

Laura nie kochała nigdy, nie wiedziała nawet, ażali jest przeznaczeniem kobiéty, otworzyć serce uczuciu miłości. Od piérwszych lat dzieciństwa znała margrabiego, jeszcze w kolébce uśmiéchała się nieraz do niego; będąc doroślejszą, wieszała mu się na szyi, huśtała się na jego kolanach; on był jéj powiernikiem jako jedyny przyjaciel jéj ojca, on był łagodniejszym od jéj rodzica, ona go nazywała: *bon petit papa*, on był posrednikiem między nią a ojcem. Razu jednego, wezwał ją owdowiały ojciec do rozmowni klasztoru i oświadczył jéj z surową ojcowską powagą: że opuści klasztor, aby oddać rękę jego staremu przyjacielowi. Wiadomość tę przyjęła młoda dziéwczyna z radością; opuścić posępne mury klasztoru, pieścić się z swoim *bon petit papa*, który jéj nadskakiwać będzie, ujść surowym spojrzeniom ojca, który miészał jéj wesołość; te myśli zaważyły nad inne, i takiémi myślami zajęta, przybyła do Paryża w miesiąc po ślubie. Ależ i margrabia zaślepiony. nie chciał widzieć: że jego małżonka nie jest już dziecięciem, ale w blasku piękności dziewiczego rozwoju, i że małżonek w Paryżu, potrzebował do takiego skarbu, czujności owego smoka, który strzegł ogrodów hesperyjskich!

✿

Jednego dnia wieczorem byli w teatrze *français*, zastali teatr przepełniony: panna Mars, podówczas na szczycie swojéj sławy, występowała po raz piérwszy w roli bohatérki, w dramie, napisanéj umyslnie dla jéj wielkiego talentu. Wszystkie loże były zajęte, parter zdawał się być falą morską, ciągle napływał tłum ludu, aż nareszcie stanął jak w mury wbity. Ale wieczora tego prócz panny Mars na scenie, było dwie grupy w lożach, które ściągały na siebie podziwienie całéj publiczności.

O, lepiéj byłoby obojgu, gdyby się nie byli spotkali w drodze życia, gdyby nieszczęście przykuło ich do łoża choroby, lepiéj byłoby dla nich, gdyby sama śmierć ich dom była nawiédziła! Bo śmierć zabija ciało, ale nie zabija duszy.

»*Tesoro mio!*« ozwał się głos cichy z jednéj loży, głos tak słodki, tak luby, jak powiew wietrzyka, kiedy się z różą pieści.— »Zazdrośc we mnie budzi ta wielka artystka, żeś nią całą duszą zajęty, a dla mnie nié masz żadnego spojrzenia!«

Słowa te wymawiały usta kobiéty pięknéj w całém tego słowa znaczeniu: oczy jéj biły blaskiem miło-promiennéj gwiazdy; jakby mistyczną ręką zwiane jéj krucze włosy z jednéj strony czoła spłynęły, podobnie Kleopatrze, w uplot z tyłu głowy tak bujny i rozkoszny, że się zdawało, iż swoją przewagą tę piękną główkę Madonny w tęż stronę przechylą. Płeć twarzy smaglawa, lekkim nakryta rumieńcem, i cała jéj postać świadczyła o pięknym rozkwicie jéj wdzięków. Była w czarną aksamitną suknię ubrana, a jéj pięknie upierścienione włosy, łyskały płomieniem drogich kamieni, w których jednakże tak jéj było do twarzy, że ją nikt nie śmiał pomawiać o przesadę w ubiorze.

Łatwo się domyśléć, że ten mężczyzna, do którego ta piękna dama przemówiła, był młodym Anglikiem z placu Vendôme. Zagadnięty wstrząsnął się nieco i odrzekł głosem, w którym się przebijał odcień niecierpliwości:

»Przebacz mi, przebacz kochana Bianko, ja z mojémi myślami... byłem gdzie indziéj... lecz wierzaj mi, że nie chciałem być dla ciebie niegrzecznym.«

»Niegrzecznym?« powtórzyła z niejakiém zdziwieniem piękna towarzyszka. »On nie chciał być dla mnie niegrzecznym!« — To mówiąc z wyrazem goryczy, wpatrzyła się w swego towarzysza, lecz bladość okryła jéj lice a ciemne oko żarem zabłysło, gdy ujrzała: że to nie panna Mars, ale loża naprzeciw, która zajęła całę uwagę jéj towarzysza.

W loży siedział stary mężczyzna, którego upudrowana głowa i w sztuczny fontaź ułożona chustka na szyi, w nieustannym były ruchu, gdyż starał się gorliwie na zapytania swojéj towarzyszki odpowiadać i swojém ją opowiadaniem zabawiać. Dama zaś przy jego boku, w którą się Anglik jak w tęczę wpatrywał, była czarującą pięknością. Bławat jéj rozmdléwających lubością oczu, przy złoto-włosych lokach, które się jak gazowe, złotawe chmurki po-nad jéj skronia zwieszały, był zachwycającego uroku. Już samym ubiorem swoim oznaczała szczerotę wiejskiéj pastérki. Suknia jak śnieg biała, płonęła bukietem z róż na piersi téj czarującéj istoty, któryto bukiet jednakże urokowi wstydliwego rumieńca na jéj świeżych jagodach, piérwszeństwa ustępował. — Nié ma więc dziwu, że na tę, w szesnastéj wiośnie tak rzadkiémi wdziękami wyposażoną boginię — jak się zwraca słonecznik za słońcem — zwracały się wszystkie śkła z lóż i krzeseł, niedziw, że margrabina St. C. mimo chęci, sławnéj artystce wielu ujęła wielbicieli i sobą ich zatrudniła.

✲

Była północ. Na placu Vendôme w wytwornym salonie, którego ściany jedwabną, purpurową materyją wybite, lśniły się od żarzących świateł śród posępnéj ciszy, siedziała samotnie anielska postać kobiéty. Na trójnożnym, z zielonego marmuru konzolu, stała misternie wyrobiona taca z koszem owoców i dwiéma kryształowémi pucharami z winem. Na drugim stoliku widać było ściśło napisany list, podobny do bardzo pomiętego zwitku papieru, a przy nim leżała damska rękawiczka śrébrem haftowana.

Tą samotnicą o tak późnéj dobie, była Bianka, ale już nie owa Bianka z dumném, wesołém wejrzeniem, którém po lożach w teatrze *français* spokojnie wodziła, nie owa kochająca i nawzajem kochana Bianka, jaką była jeszcze tegoż samego roku na wiosnę, gdy z swoim ubóstwionym kochankiem do Paryża uchodząc, wszystko bez trwogi i żalu rzuciła, co tylko jéj było najdroższém.

Teraz była zima; wysokie zaspy śniegu zalégały ulice; wiatr wył przeciągłémi tony, i wkradając się kominowym otworem, rozdmuchywał od czasu do czasu ognisko na kominku, że aż pryskiem iskier na pokój sypało. Byłato w całém znaczeniu pora zimowa, ale między zimą a wiosną nié masz tak wielkiego przeciwieństwa, jak między Bianką dawniéj a teraz. W kilku miesiącach jakże się odmieniła!

Siedząc z załamanémi na krzyż rękami na nizkiéj kanapie przed kominkiem, wpatrywała się jakby nieżywa w trzeszczące płomienie. Jéj postać utraciła widocznie na tuszy, z jéj na piers zwieszonéj głowy, spływały w nieładzie aż ku ziemi włosy; z jéj szerokich, przeźroczystych rękawów wyzierające ramiona nie pieściły już oka jak dawniéj swoją okrągłością. Była ona w pra-

wdzie i teraz piękną, ale jéj wdzięki nie miały téj co dawniéj luboścíl Pożérczy płomień namiętnego uczucia wyrył na jéj twarzy ślady swoje; jakiś głęboki smutek zawisł na tém jasném niegdyś oku, już nie biło blaskiem błogiéj wesołości!

Po długiéj chwili niemego letargu, zerwała się nagle, chwyciła się obiema dłońmi za skronie—jakby chciała wstrzymać gwałtowne bicie tętna; śpiesznym, ucinanym krokiem przeszła salę, krew zczerwieniła jéj blade policzki, jéj zasępione oko błysnęło rozżarzonym ogniem—aż nareszcie z wyrazem najgłębszéj boleści te przemówiła słowa: »Dla niego opuściłam ojczyznę, małżonka, moje lube niemowlę—które swoim anielskim uśmiéchem zdawało się mnie zaklinać: »Matko nie opuszczaj mnie!« Wszystkom dla niego poświęciła, dobre imię, spokój mojéj duszy; on był mi całym światem, on był mi Bogiem—a teraz!... O, pękaj serce moje, coś mnie tak srogo zawiodło, teraz nié mam już nikogo—nikogo na świecie — jestem sama, moje słońce zajszło, bo on mnie już nie kocha, bo inna...! O, srodześ ukarana Bianko! Ta sama ręka, za któréj skinieniem poszłaś na drogę zbrodni, topi teraz w twéj piersi grot śmiertelny.... Lecz czemuż on, on właśnie, wybrany ręką losu na moje ukaranie? Czemuż nie obca ręka zbudziła mnie z słodkiego snu moich grzéchów?.... A może téż i lepiéj się stało, inny możeby tylko zranił to serce, on zaś wié, gdzie moje życie mieszka, jego cios nie chybi!«

To rzekłszy, zaśmiała się gorżko, zaśmiała się—radością zatrutą! Gdy z zwieszonémi bezwładnie ramiony, stanęła w pośrodku sali jakąś myślą zajęta, w téjże chwili drzwi się zwolna uchyliły, a niémi weszła jakaś stara kobiéta; byłato poufna służebnica Bianki. Nieszczęśliwa marzycielka ujrzawszy ją, biegnie ku niéj, bierze ją w ramiona i mówi do niéj z dzikim uniesieniem:

»W sam dobry czas przyszłaś moja Albo, tyś jedna dochowała mi wierności. O, zacna, poczciwa duszo! Usiądź tu na téj sofie, zdéjm mi ciężar z téj piersi... Ach! jestto ciężar nad moje siły! Posłuchaj mojéj powieści, długiéj — dziwnéj powieści — o miłości—wierności — i zbrodni!« To mówiąc rzuciła się na kobierzec, złożyła głowę na kolana swojéj staréj, strwożonéj służebnéj, i śród łkania zaléwając się łzami, oddała się męczarni skrytéj boleści. Długa trwała chwila, nim się opamiętała; co gdy nastąpiło, westchnąwszy z dna piersi, odgarnęła z czoła swe rozsiane włosy, zaczęła mowić drżącym głosem w te słowa: »Przypomnisz sobie zapewne, że jestem córką świetnego, szlacheckiego—równie majątkiem jak i rodem w całéj Wenecyi znakomitego domu—z którego wielu piastowało godność doży rzeczypospolitéj weneckiéj, a niejeden nawet nosił kardynalską mitrę. O, zamilcz, nie wymieniaj tego domu nazwiska, bo w to świetne imię wżarła się plama, któréj nie zmaże tylo-wiekowa sława całego tego szczepu!

Moja poczciwa Albo, czy pamiętasz ów czas, kiedy córka téj rodziny była wesołém, szczęśliwém dziecięciem, kiedy każdy dzień jéj życia był dla niéj dniem zapustnym—dniem radości! O, ty pamiętasz te czasy, tyś czuwała przy jéj kolébce, tyś uczyła ją stawiać piérwsze kroki, tyś jéj była przewodniczką kiedy w dojrzalsze wstępowała lata. Dziéwczyna utraciła matkę! Nieraz w méj duszy ta myśl powstaje: ach, gdyby ona była przy życiu, nigdyby do tego nie było przyszło! — Dowiédz się Albo, że i ci, którzy idą ścieżką grzéchu, mają chwile opamiętania — gdyby światło jéj oczu było przyświécało mojéj pielgrzymce życia—jéj czysta dusza byłaby mnie przed moim uwodzicielem zakryła płaszczem niewinności....; Lecz wróćmy, do czego dążę. — Przyszedł czas, że ta dziéwczyna, dziedziczka wielkiego majątku, uświetniona sławą i imieniem przodków swoich, przestała być dziécięciem. Pochlebcy mówili, że była piękną, a poeci pisali sonety na jéj piękne oczy, ale jéj dusza była czystą, nieskażoną; taką była, gdy oddawała rękę przy ołtarzu, człowiekowi — którego nie kochała. Weselne gody brzmiały rozgłośnie, ale nikt się nie spytał, co się działo w sercu panny młodéj, nie pytał, czy przywiązanie spajało małżeńskie śluby, lub czy się stała ofiarą dumy rodowéj! O, ktoby wtedy był zajrzał w jéj zbolałe serce, wstrząsłby się był z przestrachu na widok próżni, która jéj siéroce zaległa piersi!

Dalsze dzieje téj nieszczęśliwéj dziéwczyny są ci wiadome. Kiedy się rozwiały sny młodości, które wypieściła dusza narzeczonéj, kiedy potém ręka małżonka usłała jéj drogę ciernistą, pełną cierpień, kiedy została matką; wtedy dopiéro się dowiedziała—że jeszcze może być kochaną, i wtedy kochać nawzajem—stało się potrzebą jéj duszy. Ty wiész, jakie staczała walki, ty wiész, że miłość macierzyńska stawiała najdłużéj opór wszystkim ponętom, którémi ją to nowe uczucie tak przemożnie w jéj piersi nagabało, ty wiész—że uległa nakoniec, że zerwała związki ślubów, które—boleśnie jéj ciężyły, i los swój oddała człowiekowi, na którego widok piérwszy raz serce jéj niebiańskim, rozkosznym, niewymownym spłonęło ogniem! Stało się; jak swemu Bogu, przyniosła temu człowiekowi ofiarę, powierzyła wszystko—opuściła wszystko—najmilsze dziécię—świetność imienia—cześć, majątek, wszystko — wszystko! Ty aniele stróżu jéj młodości, i wtedyś jéj nie opuściła, wiernieś podzielała koleje jéj losu..... O, Albo, byłam szczęśliwą—szczęśliwą, jak dziecko, które nad brzegiem przepaści kwiatów szuka! Miałam sen istot rajskich, sen luby, rozkoszny, ale—ten sen wionął, przebudzam się — i widzę przeniewierzenie się, widzę zdradę! Tak Albo, on mię zdradził!«

»Przebóg dziécię, nie mów tego«, zawołała jéj powierna, trwogą i żalem przejęta. »Ty jesteś w błędzie, to jest twoje przywidzenie!«

»O, gdyby tak było! Ale nie, nie! To jest rzeczywistość, okrutna, bolesna, bo niewątpliwa! Widzisz ten list na stoliku. Pisała go ręka téj, która mi wydarła serce jedynego przyjaciela, moje jedyne dobro na całéj téj ziemi! Jam teraz żebraczką, bo on już nie moim! List ten zawiéra odpowiedź na jego oświadczenie, ona wprawdzie powstaje na jego śmiałość, ale to nie usprawiedliwia, ona przecież wzięła mi jego myśl, jego duszę, ona go ośmieliła do tego kroku. Pokąd byłam kochana, dumna jego miłością stawiłam czoło wszelkim ciosom nieszczęścia, ale teraz, po tym ciosie śmiertelnym, nie mam siły. (To mówiąc, zerwała się w okropnéj rozpaczy i załamując ręce, wlepiwszy oczy w podłogę, zaczęła przechadzać się po pokoju). Teraz rozstać się musimy na długo—na wieki! Niechże tak będzie.« Te słowa wyrzekła tonem uroczystym.

»Nabiérz odwagi dziécię moje«, błagała staruszka. »Uspokój się, Bóg jeszcze to wszystko na dobre przemieni.«

»Jestem spokojna«, odrzekła Bianka z zimną powagą. »Widzisz, że się nie skarżę, chociaż z każdym dniem niszczeję. Długo nie chciałam w jego zdradę wierzyć, ale teraz... Nie dość, że w przepełnionych salonach margrabiego St. C. całe dnie i wieczory przepędza, zostawiając mię w domu na pastwę cierpień; nie dość, że nie zwraca nawet uwagi na piekło méj duszy, które swojém przeniewierzeniem się we mnie zażegł, ale na domiar okrucieństwa, poświęca mię swojéj obojętności, zaślepia się bez upamiętania w dziecinnéj margrabinie.« Na te słowa dała znak śrébrnym dzwónkiem, a służący wszedł do pokoju.

»Gdzie bawi twój pan Joachimie?«

»W hotelu margrabiego z St. C. Kazał pani oświadczyć, że późno do domu powróci.«

Sługa się oddalił.

»Stanę się posłuszną. Już pólnoc minęła—już się go nie doczekam. Pójdę na spoczynek. Dobranoc moja poczciwa Albo. Zostaw mnie samą.« Te słowa rzekła obojętnie, jak gdyby czém ważniejszém mając myśl zajętą.

»O, moje dziécię, moja droga pani! Przyrzeknij mi, że zaraz udasz się na spoczynek.«

»Dobrze, dobrze, moja wierna przyjaciółko. Zasnę prędko — prędzéj, niż się spodziéwasz. Zmów za mnie pacierz, abym miała sen spokojny. Dobranoc.... O, nie całuj mnie w rękę, ale pójdź tu, do mojéj piersi, pocałuj mię w usta, tak, jakeś czyniła za owych błogich dni mojego dzieciństwa, mojéj piérwszéj niewinnéj młodości....! Dobranoc ci moja dawna, jedyna przyjaciółko!«

Gdy się Bianka samą ujrzała, przystąpiła do stolika i wziąwszy list do ręki, czytała powoli każde słowo, jak gdyby je na wieki chciała wyryć w swojéj pamięci.

»»Rumienię się za ciebie panie i za siebie««... »O, niechże ci ten rumieniec wiecznie nie schodzi z twarzy!« dodała przytłumionym głosem. »»Sądziszże pan mnie zdolną, oszukiwać powolnego małżonka?««

»Powolny małżonek? Cóżbyś uczyniła młoda margrabino, gdybyś miała męża, tyrana? o, wiém, tybyś poszła za popędem twojéj własnéj miłości, bo ty myślisz tylko o sobie, jam tylko o nim myślała, o nim marzyła!« — »»Możesz pan jak zwykle dom nasz odwidzać, aby zatrzéć podejrzenie, które jego nieroztropność wywołać mogła; ja się będę starała zapomniéć o tém, co zaszło.««..... »On posłuszny jéj życzeniom, on bawi teraz przy niéj!« zawołała głosem rozpaczy, a drżąca ręka mięła kartę, która paliła jéj dłonie. »W mojéj piersi, w moim mózgu sroży się pożar, łzy go nie ugaszą! Mamże czekać ostatniéj sceny tego dramatu?... Miałam iść na spoczynek—pójdę go szukać w zimném łożu, lecz z myślą o niéj, mojéj rywalce—bo gdyby moja dusza ku niemu uleciała, brakłoby mi odwagi spełnić to, co mi nakazuje rozpacz... I ta

droga dla niego pamiątka, ta rękawiczka, na której jeszcze goreją pocałunki jego—pójdzie ze mną w głęboką krainę na wieki.«—To rzekłszy, wetknęła za gors nieszczęsny upominek swojéj rywalki; z suchém okiem, lecz pałającą twarzą obejrzała się w około, jak gdyby się chciała żegnać z milczącémi ścianami; owinęła się czarnym aksamitnym płaszczem, zarzuciła jego szeroki kołniérz na głowę, i pożegnawszy nieme świadki swojéj boleści spojrzeniem, w którém płonęła myśl zagłady, zbiegła spieszno po wschodach, zadzwoniła drżącą ręką; odźwiérny otworzył bramę, i w téjże chwili znalazła się na placu Vendôme. Była już piérwsza godzina po północy, mróz dojmował szyjąco, a śniég polatywał gęstémi szmatami.

»*Peste soit de ces Anglais!*« mrnczał rozzłoszczony portyjer, gdy niebawem potém, znów się ozwał dzwónek; służący w barwie młodego Anglika, przyniósł list od swego pana i wręczył go Joachimowi z tém poleceniem, aby go oddał pani lub w téj chwili, jeźli jeszcze nie poszła na spoczynek, lub nazajutrz; nic bowiem nie było naglącego, list zawiérał tylko tę wiadomość, że milord opuszcza na dni kilka Paryż, dla odwidzenia kilku znajomych w zamku w bliz-kości stolicy.

Joachim udał się z listem do salonu, zapukał we drzwi, lecz gdy cisza panowała dokoła, uchylił drzwi zwolna, położył bilecik na stoliku, pogasił światła, zgarnął ogień na kominku i wyszedł cichémi kroki.

»Znów cisza dokoła, ciemność zaległa komnatę, dwa listy leżały obok siebie, jeden nam znajomy ściśle zapisany od młodéj margrabiny, drugi spieszną, drżącą kreślony ręką; byłto list Bianki. Te tylko świadki mogły wygadać, co tu zaszło. O, dziwna igraszko życia!

Te dwa małe zwitki papiéru, miały stanowić o losie trojga istot!

(Dokończenie nastąpi.)

MOJA MUZA.

O Muzo moja! Ty się zwiesz Cierpienie.
Zaledwie wytchnie dusza po gromach i burzy
I w sen się zwodniczy na chwilę zanurzy,
Ty zaczynasz kołatać, budzisz jéj uspienie,
I ten niedługi letarg, co jakby w mogile
Więził ściérpła od bolu, roztrącasz niemile!

A pierś znowu przeszyta niespodzianym grotem,
Krwawi się bolem, rozpacza, rozpada z łoskotem,
I z jéj głębi wyrwany jęk nowy w świat leci;
Ten jęk pieśń stwarza, pieśń gorzką i smętną,
Pieśń wściekłą, szyderczą, chłodną lub namiętną,
Pieśń taką, jak ta siła, co ją w duszy nieci.

Piersi moja! Tyś lutnią, a w złowieszcze dźwięki
Nastrojone twe struny od Nieszczęścia ręki
Brzmiały wciąż smutkiem z samego powicia!
Jedna tylko Nadziei, jedna struna złota...!
I ta pękła, a boleść, rozpacz i tęsknota
W jeden akord splątane, grają mi hymn życia!

Serce moje, ognisko, wulkan wygorzały,
Wre ogniem tajemnym, czasem iskra błyśnie,
Iskrą zaświeci, żar w głębię zaciśnie.
A choć się wydrą gwałtowne zapały,
Niebu je tylko poszlę—gdy żużle i lawa
Z wytrawionych płomieni dla ziemi zostawa.

Dusza moja, jak dawna zburzona świątnica,
Niegdyś pełna modlitwy, jasności i woni,
Dźwiga dziś jeszcze światu skamieniałe lica,
Jéj wnętrze w gruz zapadło! I choć dotąd chroni
Od zguby ołtarz Wielkości, to mu go słoni
Kirem śmierci ciężka Zniszczenia prawica!

I myśli mojéj polot, gołąb' jasny, biały,
Ptak niebios, w samo niebo wzbijał się zuchwały,
I rószczkę nadziei przynosił z podróży—
Dziś w ptaka nocy zmienion, zwiésza po-nad groby
Ciężkie czarne swe skrzydła, chorągiew' żałoby,
I swój krzyk złowieszczy miesza w odgłos burzy!

Amelija Valde.

LITERACKIE DROBNOSTKI, UŁOMKI, CIEKAWOŚCI, ŚMIESZNOŚCI, FRASZKI I DZIWACTWA, ZEBRAŁ I SPISAŁ D. Z.—

(Ciąg dalszy.)

Picrinus, Niemiec, wydał poema pod tytułem: *Christus Crucifixus*, zawiérające tysiąc wiérszów, w których każde słowo zaczyna się literą *C.* n. p.:

Currite castalides, Christo comitante camoenae,
Concelebratura cunctorum carmine certum,
Confugium collapsorum, concurrite cantus.

Sławny Cardanus posiadał romans, który ile razy czytał, natychmiast zasypiał. Tytuł tego romansu był: *Hypnerotomachia Paliphili* 1499, autorem onego Fr. Colonna. Pomimo łacińskiego tytułu romans pisany po włosku, a raczéj szczególniejszym językiem, byłato mieszanina słów greckich, łacińskich, włoskich, longobarskich, a nawet hebrejskich, arabskich i chaldejskich. — Dzięki Bogu, iż żyjemy w czasach obfitych w usypiające romanse i nie mamy potrzeby uciekać się do tak rzadkiego dzieła. Szkoda tylko, że imiona teraźniejszych tyle nam użytecznych morphino-romanopisarzy, nie przejdą do potomności!—

Powszechném było dotąd zdaniem, że druki rossyjskie, tak zwane graždanskie, dopiero za Piotra W. wynalezione i na mocy jego rozkazu zaprowadzone zostały. W roku upłynionym 1841 P. Tyrol, uczony Serwianin, w Odessie na ów czas mieszkający, w odesskim wiestniku ogłosił, że litery takowe bezwątpienia bojarowie: Golicin, Repnin i inni w czasie bytności swéj w Wenecyi z tamtąd do Rossyi przywieźli, gdyż jeszcze w r. 1682 wydrukowana takiémiż graždanskiemi zwanemi czcionkami książka Posiłowicza pod tytułem:

»O nasłażdenii duchownoma w Wenecyi. — Pisarz niniejszych drobnostek, ma właśnie przed sobą mszał sławiański z roku 1604 i *Agendę* czyli trebnik z roku 1606 w Stratynie w Galicyi literami kształtu i zaokrąglenia grażdanskich wydrukowany. O którychto książkach i w Sopikowa biblijografii pod Nrem 1472 i 1333 jest wzmianka. — Pierwszeństwo zatém zaprowadzenia foremniejszych, do łacińskich druków zbliżonych sławiańskich typów, Galicyi należy.

W jednym z pism niemieckich czytać można, że książę Radziwiłł dowódca wójsk polskich, (musiał to być książę Michał, piérwéj polny, a późniéj wielki hetman litewski), chcąc oddać hołd wielkiemu Hallerowi za jego wyborne poezyje, przysłał mu patent na jenerała-majora.

W Wedekinda chronologicznéın podręcznéın dziele (*Chronalogisches Handbuch*, Lüneburg 1814 str. 204), jako nowe wynalazki pod rokiem 1799 razem i obok zapisane: migdały ziemne, jako surrogat kawy i Schellinga naturalna filozofija.

Piotr Apianus, sławny astronom w Ingolstadzie, dedykował cesarzowi Karolowi V. swoje dzieło: *Astronomicum Caesarum*, otrzymał za to trzy tysiące dukatów i nobilitowanym został. Papież Leon X. nieproszony, przez bullę ogłosił klątwę na każdego, któryby Ariosta dzieła przedrukować lub ganić ważył się.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ZE LWOWA.

Tygodnika rolniczo-przemysłowego pod Redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł N. 36. i obejmuje: 1) O rolnictwie i jego kombinacyjach, na rachubie opartych, przez Kazimierza hr. Krasickiego. (Ciąg dalszy). 2) Czy tam, gdzie jest wiele ziemi a mało rąk, da się zaprowadzić płodo-zmienne gospodarstwo? przez Kaź. J. Turowskiego. 3) O hodowli bydła latem na stajni. (Ciąg dalszy). 4) O oświetlenia miast i domów gazem alkoholicznym. 5) Wiadomości czasowe: Sól do kwaszenia kapusty nie koniecznie jest potrzebna.

Z Warszawy: *Przeglądu naukowego* numer 24ty zawiera następujące artykuły: 1) Wspomnienia z podróży po Litwie, Rusi Czerwonej i Rusi Białej (Urywek piérwszy). 2) Rys historyi i jeografii, przez Jana Majorkiewicza. (Ciąg dals.) 3) Kronika piśmiennicza polska. —— Tamże wkrótce wyjdzie z druku: *Wspomnienie o życiu i pismach zmarłéj przed rokiem w Rzymie, św. p. Kaliksty z Rzewuskich księżny Teano*, przez autora znanego zaszczytnie w literaturze polskiej. —— Tamże wyjdzie wkrótce na widok publiczny: *Bohater naszych czasów*, romans M. Lermontowa, przetłumaczony z rossyjskiego na język polski. —— Tamże wyszedł tom trzeci: *Biblijoteki starożytnej pisarzy polskich*, przez Kaź. Wład. Wojcickiego, zawiera: 1) Przedmowa. 2) Facsimil: Powssednya Spowyedz. 3) Schadzka ziemiańska. 4) Szczęśliwa expedycyja pod Kamieńcem z Turkami. 5) Ekonomija albo gospodarstwo ziemiańskie. 6) Pogrom Tatarów. 7) Wybawienie Ruggiera z wyspy Alceny. —— Tamże wyszło nowe dzieło J. I. Kraszewskiego, pod tytułem: *Latarnia czarnoksięzka*, obrazy naszych czasów 4 tomy.—— Tamże wydanym został przez Aleksandra Matuszewskiego: *Rys systematyczny grammatyki francuzkiej*, za pomocą którego, w przeciągu najdaléj miesiąca, można doskonale najpotrzebniejszych do mowienia po francuzku, nabyć zasad. —— Tamże Jozef Sapalski wydaje dzieło: *O Kometach*. (*K. W.*)

Nowości literatury rossyjskiej. Z płodów literackich, które w bieżącym roku drukiem ogłoszone zostały, zasługują na uwagę dzieła w rossyjskim języku, N. Chanykowa: *Opisanie buharskiego chaństwa, z mapą téj krainy, planami miast Buchary i Samarkanda oraz popiersiem teraźniejszego rządcy Emira Nasr-Ułły Bachadura Chana*. St. Petersburg 1843 w 8ce str. 279. — Katalog ksiąg, rękopisów i kart w chińskim, mandżurskim, mongolskim, tybetańskim i sanskrytskim języku, znajdujących się w biblijotece petersburskiego azyjatskiego departamentu. St. Petersburg w 8ce st. 102. — *Młodzik (Mołodyk) ukraiński literacki zbiéracz*, w 2ch tomach, wydany przez J. Beckiego w Charkowie 1843; prócz artykułów sławniejszych pisarzy rossyjskich, zawiéra oraz przekłady na rossyjskie z polskiego: Korzeniowskiego: *Piąty akt*, sceny z jego dramatu: *Górale*, oraz z Kraszewskiego: *Historyi o bladéj dziewczynie z pod Ostréj-Bramy*. W narzeczu mało-ruskiem mieszczą się tu ukraińskie dumki, piosnki weselne, powieści: *Perekatypołe*, przez Osnowianeńkę, *Torba dziadowska*, *Polowanie (gminne podania)*. Drugi tom dzieła tego obejmuje: *Wiadomość o pierwszych wojnach Kozaków z Polską*, *oraz przegląd wszystkich w małoruskiém narzeczu drukowanych dzieł*, przez Hałkę, którego także próby przekładu rękopisu królodworskiego w tém narzeczu są zarazem udzielone. Dzieło to zdobią popiersia sławnych ukraińskich mężów i pisarzy.— W Petersburgu ogłosił także w tym roku dzieło w niemieckim języku, J. Ch. Stuckenberg, pod tytułem: *Opisanie wszystkich w państwie rossyjskiém kopanych lub téż dopiéro zaprojektowanych kanałów spławnych pod historycznym, statystycznym i technicznym względem* (z mapą). Księga ta do krajo-znawstwa polskiego szacowny stanowi materyjał, zawiera bowiem dokładne prócz innych wiadomości o kanałach polskich: królewskim w gubernii grodzieńskiej, łączącym Pinę z Muchawcem; windawskim, łączącym Dubissę z Windawą; augustowskim, ogińskim, łączącym Niemen z Dnieprem; berezińskim projektowanym przez Czackiego; czasnickim; oraz o projektach między innemi jenerała Małeckiego, połączenia Bugu z Wieprzem. —†—

Środek przeciw wściekliźnie. W Udine w Friaul, podano człowiekowi mającemu napady wścieklizny przez omyłkę ocet, zamiast przepisanego lékarstwa. Chory przyszedł do zdrowia. Pewien lékarz w Padwie, dowiedziawszy się o tym wypadku, używał w tamtejszym szpitalu przeciw wściekliźnie tegoż samego środka. Pacyjent dostawał zrana funt winnego octu, w południe drugi, wieczorem trzeci, i wkrótce ozdrowiał.

W chwili obecnej kiedy asfalt we Francyi i Belgii a smołowiec u nas, tak znakomite zdają się zajmować miejsce w rozmaitych zastósowaniach do ulepszenia bruków i pokrywania dachów, nie od rzeczy jest przytoczyć, że właśnie lat temu 200, Jarzemski, budowniczy i muzyk króla Władysława IV., opisując Warszawę jaką była w roku 1643, spomina w relacyi o pałacu Ossolińskich, że kamienie pokrywające dach tego budynku, aby śnieg i deszcz nie szkodził, smołą były dychtowane. Pałac Ossolińskich późniéj Mniszchowski, był gdzie dziś resursa kupiecka przy ulicy senatorskiéj, w téj części dawniej reformacką zwanéj.

Śledzie. Wiadomo, że rybak z Holandyi Wilhelm Beukels, wynalazł na początku piętnastego wieku sposób nasalania śledzi, przezco ojczyźnie swojéj wielkie wyświadczył dobrodziejstwo. Mniej może będzie wiadome czytelnikom, że teraz jeszcze trzymają się w Holandyi pewnych zwyczajów, które Beukels zaprowadził. I tak każdego roku na początku czerwca ci wszyscy, którzy na połów śledzi wychodzą, zacząwszy od kapitana okrętu aż do najmłodszego majtka, muszą

przed burmistrzem swojego miasta złożyć przysięgę, że przed 25tym czerwca w godzinę po północy, nie zarzucą swoich sieci. (Beukels bowiem utrzymywał, że złowione przed 25. czerwcem śledzie przechować się nie dają). Drugą znowu regułą w łowieniu śledzi przekazaną od Beukelsa, jest: aby nie łowić króla śledzi; tak nazywają śledzia, który na samém czele całego oddziału płynie. Pierwszy śledź złapany od Holenderczyków, należy się królowi, który za ten podarek znaczną-daje kwotę. Dawniéj odsełano go burmistrzowi z Amsterdamu, który tę honorową daninę nagradzał złotym medalem.—Teraz jeszcze pamiętają Holendrzy, co niegdy Cesarz Karol V. na cześć rybaka Beukels był uczynił. Razu jednego znajdując się w blizkości warowni Biervliet, zapytał się rybaka, który go wiózł na łodzi: »Coby tu było godnego do widzenia?«—»Pomnik Benkelsa«, odrzekł rybak i wymawiając te słowa, zdjął kapelusz z uszanowaniem. Cesarzowi było obce to nazwisko, ztąd popadł w złe mniemanie o rybaka. Dowiedziawszy się, co Beukels dla kraju uczynił, udał się Cesarz z swoją siostrą, królową węgierską i swoim dworem w całéj okazałości na toż samo miejsce, i oddał pokłonem uszanowanie przed pomnikiem rybaka Wilhelma Benkels.

Nowe obronne wały opasujące Paryż. Serwius Tullius z opasał Rzym murami, które za czasów Cesarza Aureliusza drugim, na podwojną odległość, od pierwszego obwiedzione zostały. Również i fortyfikacyje Paryża z czasów ligi, będą teraz cztéry razy tak przestronnym jak wtedy otoczone wałem obronnym. Budowa ta wielka, któréj dano nazwę: *Enceinte continue*, postępuje spieszno i mieć będzie 21 bram na lewym brzegu Sekwany, a 10 na prawym, każda z tych bram połączona mostem zwodzonym z odpowiednią baryjerą, będzie oprócz tego zaopatrzona blankami i dwoma ciężkiémi działy.

Mowa naczelnika Czaktów. Dziennik *The Free Trader*, wychodzący w państwie Missisipi udzielił następującéj ciekawéj mowy, którą naczelnik Czaktów, plemienia zwanego czerwonemi ludźmi, zamieszkałego w temże państwie, miał do ajenta Stanów Zjednoczonych, który namawiał ich do wywędrowania w krainę wyznaczoną im na drugiéj stronie rzéki Missisipi, dodając, aby się chwytali ręki, którą im ich wielki ojciec, to jest prezydent Stanów Zjednoczonych podaje; na co mu naczelnik Czaktów następującémi odpowiedział słowy: »Bracie! Słyszeliśmy przez twoje usta słowa naszego ojca, tego wielkiego naczelnika białych w Washingtonie, a lud mój wezwał mnie, abym się z tobą rozmówił. Człowiek czerwony nie ma książek, a gdy on myśli swoje objawia, używa do tego ust swoich podobnie jak jego ojcowie; a kiedy przemawia, wtedy wie co mówi, a wielki duch słyszy go. Pismo jest wynalazkiem bladych twarzy, (*pale faces*), wiedzie ono do błędów i rozterek. Duch wielki mówi do nas grzmotem piorunu, poświstem wiatru i szumem wód rozległych, ale on nie pisze. Bracie! kiedyś był młodym, myśmy byli silni, walczyliśmy przy twoim boku—ale broń nasza teraz skruszona! Wyście wzrośli, mój lud zmalał. Bracie! głos mój jest słaby, zaledwie go dosłyszeć możesz, nie brzmi on wojennym okrzykiem, ale jęczy piskiem niemowlęcia. Na widok niedoli mego ludu głos ustał mi w piersiach. Tu są groby naszych naddziadów, a w wierzchołkach tych odwiecznych jodeł mieszkają duchy zmarłych. Ich święte prochy leżą w téj ziemi, my jesteśmy strażnikami tych drogich popiołów. Wojownicy nasi wszyscy prawie udali się do kraju na zachód, ale to są nasi zmarli. Mamyż i my ich porzucić i kości ojców naszych oddać na pastwę wilkom? Bracie! jużeśmy dwa razy spali, od czasu jakeś z nami mówił, a zatym dobrześmy rozważyli, o co tobie chodzi. Żądasz, abyśmy naszą ziemię opuścili, nasz ojciec, jak powiadasz, wymaga po nas tego, nie chcemy na nas ściągać jego gniewu. Dajcie nam czasu do odpowiedzi. Bracie! serca nasze są przepełnione. Już dwanaście zim mija, jak nasi naczelnicy naszę ziemię sprzedali. Wszyscy wojownicy, jak ich tu widzisz, byli przeciwni temu. O, gdyby umarli mówić mogli, nie przyszłoby to nigdy do skutku. Chociaż ich cienie w około stały, nie można ich było ani widzieć ani słyszeć. Ich łzy spływały w kroplach dészczu, ich głos mówił jękiem wiatru, ale blade twarze nie mają ani oczu, ani uszu na taką mowę, a nasz kraj nam zabrano. Bracie! my nie narzekamy. Czakta cierpi, ale nie płacze. Wy macie silniejsze ramię, a my oprzéć się nie możemy. Ale twarz biała, uwielbia wielkiego ducha; czerwony człowiek wielbi go także. Wielki duch lubi prawdę. Gdyście nam naszę ziemię zabrali, przyrzekliście nadać nam grunta. Wasze przyrzeczenie jest tam w wielkiéj księdze u was zapisane. Jużto dwanaście razy tracą drzewa swoje liście, a my tych gruntów nie mamy. Zabrano nam nasze chaty; pług białego człowieka roztrąca kości naszych ojców. Nie śmiemy nawet ognia rozniecić—a przecież mówiliście nam, abyśmy zostali, że nam ziemię dacie. Bracie! jestżeto prawda? Nasz wielki ojciec wie teraz, co się z nami dzieje, on nas wysłucha. My jesteśmy podobni do wierzb płaczących, w własnéj ojczyźnie siérotami! Nasz ojciec poda nam rękę. Skoro dotrzyma swego przyrzeczenia, wtedy odpowiémy mu na jego mowę. On nam dobrze życzy. Nie przeczymy temu. Ale nam teraz nie myślić o tém. Smutek i zgryzota porobiły nas dziećmi, a skoro się ta rzecz ukończy, znowu będziemy mężami. Bracie! ty mówisz słowami wielkiego ludu, a twoja mowa jest długa, mój lud jest mały, cień jego zaledwie waszych kolan sięga. Plemię nasze poszło w rozsypkę lub uległo zagładzie; kiedy zawołam, głos mój odbrzmiéwa z głębi lasu, ale żadnéj nié mam odpowiedzi! Moje słowa są przeto krótkie. To, co powiedziałem, powtórz wielkiemu naczelnikowi bladych twarzy.«

Apropos de bottes. Wykwintność obuwia była zawsze cechą największéj elegancyi. Za najświetniejszych czasów dworu francuzkiego, tylko szlachta miała prawo nosić obuwie z czerwonémi obcasami. U nas bogatsi także nosili buty czerwone. Staranność o obuwie u płci obojga i do dziś nie ustaje; trzewik jest dotychczas tak jak był dawniéj, cechą porządnego ubrania kobiety. W Warszawie o to nie trudno, bo trzewiki nasze mają sławę europejską; wszyscy przyznają im pierwsze miejsce zaraz po paryzkich. Trzewiki z Warszawy wysyłają się do różnych stolic, a przybywający tu podróżni z obcych krajów, nieraz je wywożą na podarunki i gościniec do domów. Jedna z elegantek w Wiedniu, i to dobrze nam wiadomo, przez lat kilkanaście nie nosiła innych trzewików jak tylko warszawskie, regularnie jéj corok kilkanaście tuzinów takowych dostarczano. Najmodniejsze trzewiki są zawsze jedwabne czarne, chociaż z niemi teraz rywalizują buciki w jasnych kolorach. Do Augusta III., damy nasze nosiły trzewiki ze skórek malowanych albo złoconych. Najpiękniejszy materyjał w tym rodzaju, pochodził z Korduby w Hiszpanii. Moda ta ustała w połowie panowania tego Monarchy; odtąd datują trzewiki bławatne.

(K. W.)

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.
Drukiem Piotra Pillera.